

TEMATY
TYGODNIA

- 10 Dionisios Sturis
Grek się nie przejmie
- 12 Łukasz Wójcik
Czy Unia im daruje

POLITYKA

- 14 Anna Dąbrowska
Co chowa PiS
- 16 Joanna Solska
Wszystkim dadzą, nikomu nie zabiorą
- 19 Skąd i po co biorą się w polityce kobiety – rozmowa z prof. **Hanną Bednarek**

SPOŁECZEŃSTWO

- 22 Adam Grzeszak
Wakacje z zamachami
- 26 Piotr Pytlakowski
Zabójstwo dziennikarza: przełom w śledztwie?
- 28 Paweł Walewski
Do sądu po lek
- 31 Juliusz Ćwieluch
Rozbrojony „Ślżak”
- 34 Piotr Pytlakowski
Jak IPN może zrobić z ciebie esbeka

RYNEK

- 36 Adam Grzeszak
Legendarny Colt bankrutem
- 39 Czy wątpliwości prawne należy zawsze rozstrzygać na korzyść podatnika – rozmowa z wiceministrem finansów **Jarosławem Nenemanem**

ŚWIAT

- 44 Marek Ostrowski
Jak ukarać za ludobójstwo
- 47 Agnieszka Szypielewicz
ROSJA Opozycja atakuje dowcipem
- 50 Adam Szostkiewicz USA
Rasizmem podszyli

HISTORIA

- 52 Joanna Podgórska
Dokąd trafili Żydzi z Hotelu Polskiego



14, 16 Państwo według PiS



22 Wakacje z dreszczykiem



31 „Ślżak” – wodowanie po 14 latach



83 Głupi, głupszy, najgłupszy – TV bije rekordy

NAUKA

- 56 Andrzej Hołdys
Komu pomagają miliarderzy z Doliny Krzemowej
- 59 Rozmowa z prof. **Krzysztofem Mikulskim**, badaczem życia i dzieła Mikołaja Kopernika
- 62 Borys Jastrzębski
Dlaczego protestują studenci

KULTURA

- 68 **Piotr Nawara**, jeden z twórców projektu Cricoteki, o współczesnej polskiej architekturze
- 72 Urszula Schwarzenberg-Czerna
Zapomniane ilustracje
- 75 **KAWIARNIA LITERACKA**
Jakub Żulczyk
- 76 Olga Drenda
Po czym poznać grafomana
- 79 **MEA PULPA**
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

- 80 Mariusz Herma
Jak zostać perfekcyjną panią domu
- 83 Marcin Zwierzchowski
Najlepsze formaty telewizyjne

NA WŁASNE
OCZY

- 92 Jagienka Wilczak
Lampedusa na Bałkanach

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 64 Afisz • 86 Passent
- 88 Hartman • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy, plusy i minusy
- 98 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

Napaleńcom mówimy: nie

Podczas gdy w Ameryce i Europie Zachodniej swoboda seksualna przynosi zmiany obyczajowe, u nas – jak czytam w prasie – przynosi przede wszystkim wzrost zachorowań na kiłę i rzeżączkę. Nic dziwnego, że co światlejsi publicyści takiej swobody nie popierają i domagają się jej zniesienia, co miałyby doprowadzić do uzdrowienia społeczeństwa nie tylko z kiły i rzeżączki, ale także z innych groźnych patologii. Trzeba powiedzieć, że dzięki ludziom takim jak redaktor Terlikowski, który od lat ofiarnie walczy z niczym nieuzasadnioną swobodą seksualną, wciąż jesteśmy krajem bardzo przyzwoitym. Ale już zachód Europy i Stany Zjednoczone, zdaniem Terlikowskiego „przypominają rozrywkowy dom starców dla hipisów, którego pensjonariusze myślą tylko o tym, by jeszcze trochę przygazować, naćpać się i poużywać życia”. Publicysta przestrzega, że zamroczenie podstarzałych napaleńców jest tak duże, że nie cofną

się przed zabawianiem się z każdym, kto im wpadnie w łapy.

Nie można wykluczyć, że mocno podochoćeni, zaczęną się dobierać i do nas, chociaż osobiście nie panikowałbym. Wprawdzie nasza atrakcyjność na świecie rośnie, jednak dla tych, którzy lubią sobie przygazować i poużywać, wciąż jeszcze nie jesteśmy celem nr 1. Poza tym uważam, że wszystkich nas nie wykorzystają, bo się nie damy. Ale oczywiście łatwo z takimi naćpańcami nie będzie, bo Terlikowski przestrzega, że swoboda seksualna odebrała im resztkę rozumu. Skutek jest taki, że zamiast bronić zachodniej cywilizacji przez Państwem Islamskim, właśnie tę cywilizację ostatecznie pograżyli, o czym świadczy decyzja Sądu Najwyższego USA „uznająca, że dwóch facetów albo dwie kobiety mogą być małżeństwem”.

Jeśli o mnie idzie, to nie jestem pewien, czy warto bronić cywilizacji, którą może pograżyć para gejów lub lesbijek. Mimo to ostrzeżeń

wyczulonego na wszelkie przejawy swobody seksualnej Terlikowskiego nie bagatelizuję. Podzielał również jego niepokój o przyszłość cywilizacji, która w chwili, gdy bojownicy Państwa Islamskiego chcą ją zniszczyć, zajmuje się „promocją seksu, z kim popadnie”.

Ztym że nie do końca zgadzam się z jego konkluzją, że „Zachód w obecnej formie nie ma przyszłości”. W opinii tej wyczuwam nutę nadziei na ewentualne nadanie upadłemu Zachodowi nowej, świeżej formy, wypracowanej przez środowiska zbliżone do Terlikowskiego. Boję się jednak, że jest to nadzieja niczym nie uzasadniona. Przykro to mówić, ale zarówno na Zachodzie, jak i niestety u nas liczba kompletnie zamroczonych osób, chętnych do uprawiania seksu, z kim popadnie – nie maleje. I niestety boję się, że osoby te są gotowe stawić skuteczny opór Państwu Islamskiemu i zapewnić przyszłość Zachodowi tylko po to, żeby potem móc sobie poużywać.

Amerykański kanał polski

Amerykański koncern Scripps Networks Interactive oficjalnie już został właścicielem grupy TVN. Firma płaci 584 mln euro w gotówce, przejmując 856 mln euro długu TVN i planuje skup akcji TVN z rynku, by zwiększyć swoje udziały z 52,7 do 66 proc. **Kenneth W. Lowe, przewodniczący rady nadzorczej, prezes zarządu i dyrektor generalny SNI, wyjaśnia, dlaczego uważa tę inwestycję za świetny interes, i mówi o przyszłości spółki.**

ANETA KYZIOŁ: – Specjalizujecie się w produkcji programów lifestylowych, o gotowaniu, jedzeniu, majsterkowaniu i podróżach, tymczasem w portfolio TVN znajdują się także kanały informacyjne, na czele z TVN24. Czy planujecie zmiany w tym sektorze?

KENNETH W. LOWE: – Żadnych. Scripps to firma ze 140-letnią historią, zaczynaliśmy od tworzenia gazet, potem były stacje radiowe i telewizyjne, prowadziliśmy też przez wiele lat agencję informacyjną UPI. Wysokie standardy dziennikarskie w tworzeniu informacji nie są dla nas niczym nowym.

Czy jesteście świadomi tego, że nadchodzące wybory mogą zmienić sytuację polityczną w Polsce?

Nie jesteśmy po żadnej z politycznych stron, tylko po stronie dobrej jakości programów, fair i wyważonych. Od swoich dziennikarzy oczekujemy profesjonalizmu, wysokiej jakości relacji, oddawania faktów. Przez niemal półtora wieku swojej historii Scripps operował w środowisku, w którym władza stale się zmieniała, raz rządziła prawica, raz lewica. Postrzegamy Polskę w szerszej perspektywie czasowej i widzimy kraj silny, jeden z wiodących w Europie, z rozwijającą się i rosnącą klasą średnią. Nie boimy się przyszłości.

Czy planujecie jakieś zmiany w strukturze TVN, zwolnienia?

Kupiliśmy firmę, która jest świetnie zarządzana, jej wyniki finansowe i oglądalność mówią same za siebie, więc nie planujemy żadnych zmian. Zamierzamy być wsparciem dla TVN, dobrym



© TVN/CZARY PIWOWARSKI

partnerem, dać Markusowi [Tellenbachowi, prezesowi TVN – przypis red.] i jego zespołowi możliwość wzmocnienia i rozwoju tej firmy do poziomu daleko wykraczającego poza jej obecne możliwości.

W co konkretnie SNI zamierza zainwestować w TVN?

Zarówno dla SNI, jak i dla TVN oczywiste jest, że przyszłość to innowacje, nie tylko w samych programach, w ich treści, ale także w sposobach, w jaki treści są konsumowane – oglądane. Dziś niezbędne są inwestycje w obecność na wszelkich możliwych platformach, z urządzeniami mobilnymi na czele. Musimy być tam, gdzie widzowie konsumenci chcą nas oglądać, w dostosowanych do tych „miejsc” formach i formatach.

Jaką pozycję zajmie TVN w strukturze waszej korporacji?

Mamy swoje kanały w wielu krajach, sprzedajemy nasze programy i formaty na całym świecie, mamy także kilka joint-venture w Kanadzie czy w Wielkiej Brytanii, gdzie wspólnie z BBC Worldwide prowadzimy z sukcesem UKTV. Jednak zakup TVN to coś zupełnie innego, to nasza największa jak dotąd zagraniczna inwestycja, która zwiększa udziały zagraniczne w naszych aktywach z 3 do 17 proc., to dla nas wielka zmiana. Po latach ugruntowywania swojej pozycji na rynku amerykańskim szukaliśmy możliwości rozwoju międzynarodowego. Wystawianie grupy TVN na sprzedaż to była dla nas wielka i rzadko spotykana okazja – grupa medialna z różnorodnymi kanałami, z silną pozycją rynkową i świetnym modelem biznesowym. W dodatku w państwie, które stwarza bardzo korzystne warunki do prowadzenia biznesu i długoterminowych inwestycji. To dla nas duży krok na drodze stopniowego przekształcania SNI w globalną firmę.

ROZMAWIAŁA ANETA KYZIOŁ

Wybieramy najważniejsze wynalazki XX w.

Trzy wynalazki, które radykalnie zmieniły nasze życie i przyzwyczajenia, ujrzały światło dzienne 50 lat temu. W laboratorium skonstruowano pierwszą płytę CD. W urzędzie patentowym zarejestrowano tzw. miękkie szkła kontaktowe. A także torbę plastikową, zwaną dziś popularnie jednorazówką lub reklamówką. To świetna okazja, by przypomnieć inne innowacje XX w., które bardzo ułatwiły nam codzienne życie i stały się podręcznymi przedmiotami towarzyszącymi w domu, pracy i podróży.

Czytelników POLITYKI zachęcamy więc do udziału w wakacyjnej zabawie w wybór wynalazków, które z dzisiejszej



perspektywy wydają się najważniejsze. Niby szmince w sztyfcie trudno rywalizować z przenośnym komputerem, ale kto wie...

Na stronie www.polityka.pl znajdują państwo szczegóły zabawy oraz nasze propozycje: od herbaty w torebkach i długopisu kulkowego po walizkę na kółkach, telefon komórkowy oraz viagrę. Niezdecydowanych pocieszamy: z naszej listy można wybrać do trzech wynalazków. Decyzję warto uzasadnić, ponieważ najciekawsze komentarze nagrodzimy zestawami „Niezbędników Inteligenta” POLITYKI. Zapraszamy!

© KAROLINA ŻELAZIŃSKA

Jarosław jeden wie

Sondażowe sukcesy PiS mogą przypisać o zawrót głowy. Jak tak dalej pójdzie, to przed wyborami PiS przekroczy 100 proc. poparcia. Kto wie, czy wówczas nie przydałby się jakiś korpus ochrony wyborów? Platformie także nieco rośnie, ale zdecydowanie wolniej, za to Kukizowi spada. Wszyscy pozostali mogą czuć się właściwie z parlamentu odwołani, nawet jeśli się jednoczą, zakładają nowe partie i też zmieniają wizerunki. To jest oczywiście stan na początek lipca, kiedy do wyborów mamy jeszcze ponad trzy miesiące, ale dynamika sprzyjająca PiS jest oczywista i na razie nie widać niczego, co mogłoby ją odwrócić. Chyba że nadmierna pycha, która niejednego już zgubiła, a pychę w szeregach PiS, zwłaszcza w przeróżnych „oddziałach szturmowych”, w tym medialnych, aż nadto dobrze słychać, widać i czuć. Na razie jednak ta maszyna po prostu jedzie, sygnalizując balonikami i konfetti.

Wiadomości bardzo przyjemne dla PiS wcale nie muszą być przyjemnymi dla Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli trzy czwarte wyborców tej partii uważa, że pani Beata Szydło będzie lepszym premierem niż sam prezes, trudno wynik uznać za kompletny dla prezesa, o którym jeszcze niedawno mówiono, że bez niego nie ma partii, rządzenie jest jego przeznaczeniem, a wołanie „Jarosław Polskę zbaw” stało się zawołaniem bitewnym. A może jednak PiS bez Kaczyńskiego jest i będzie? Przecież ledwie dwa tygodnie minęły od wskazania pani Szydło, a już premierowskie zalety prezesa poszły w cień, także wśród naj-

wierniejszych z wiernych. Można oczywiście tłumaczyć, iż dla wszystkich jest oczywiste, że za plecami wiceprezidentki stoi przewodniczący, że to tylko marketingowe sztuczki i przedwyborcze manewry, ale radość ze zwycięskiej nieobecności prezesa nabiera politycznego ciężaru.

Jeśli zmiana przechodzi tak łatwo, jeśli wystarczy postawić na dwie, trzy nowe osoby i kilka schować, a już idziemy od sukcesu do sukcesu, to może jest w tym coś więcej i wołanie o zmianę obejmie także zwolenników PiS, chcących „odświeżenia” polityki i nieco innego języka? Kiedyś to Jarosław Kaczyński wygłaszał godzinne, często płomienne wystąpienia. Dziś stało się to domeną pani Szydło, sprawnej, ale nie płomiennej, raczej o skłonnościach sprawozdawczo-buchalteryjnych, która oczywiście powtarza rytualne zaklęcia, czego to chcą Polacy i czego potrzebuje Polska (bo polskość, polska tradycja i tradycyjna rodzina to wartości najważniejsze) i co dostaną, jeśli zagłosują na PiS. Może patronat, który sprawuje Kaczyński, pojawiający się i wygłaszający kilka zdań, z wolna staje się tu po prostu obrzędem?

To jest dla Platformy nowe wyzwanie nie dlatego, że tak zwane „straszenie PiS” przestało być wyborczo wydajne. PiS jest nadal groźne i jest czym straszyć.

Gospodarczych i socjalnych obietnic padło podczas konferencji programowej w Katowic-



cach mnóstwo i mogą one uwodzić, choć ich realność dobrze ocenił na przykład minister zdrowia prof. Marian Zembala, mówiąc, że budżetowe, po za-

powiedzianej likwidacji NFZ, finansowanie służby zdrowia jest dobre dla Kuwejtu. Dla jednoczącej się ponoć lewicy ten program jest też wyzwaniem, bo nie bardzo wiadomo, co jeszcze można obiecać więcej, tym bardziej że część prorodzinnych zapowiedzi już została zrealizowanych w obecnej kadencji koalicji PO-PSL.

Zapewne ekonomiści rozbiorą ten program na czynniki pierwsze, pokazując jego oczywiście słabości i nieuczciwość, co zresztą będzie miało znaczenie umiarkowane, bo liczy się obraz pierwotny, owa sprawność pani Beaty Szydło w wygłaszaniu zdań wyjątkowo banalnych. Są zresztą w programie rzeczy ciekawe, choćby dla drobnych polskich przedsiębiorców, którzy już dawno porzucili PO, ale jaką to ma wiarygodność – Jarosław jeden wie.

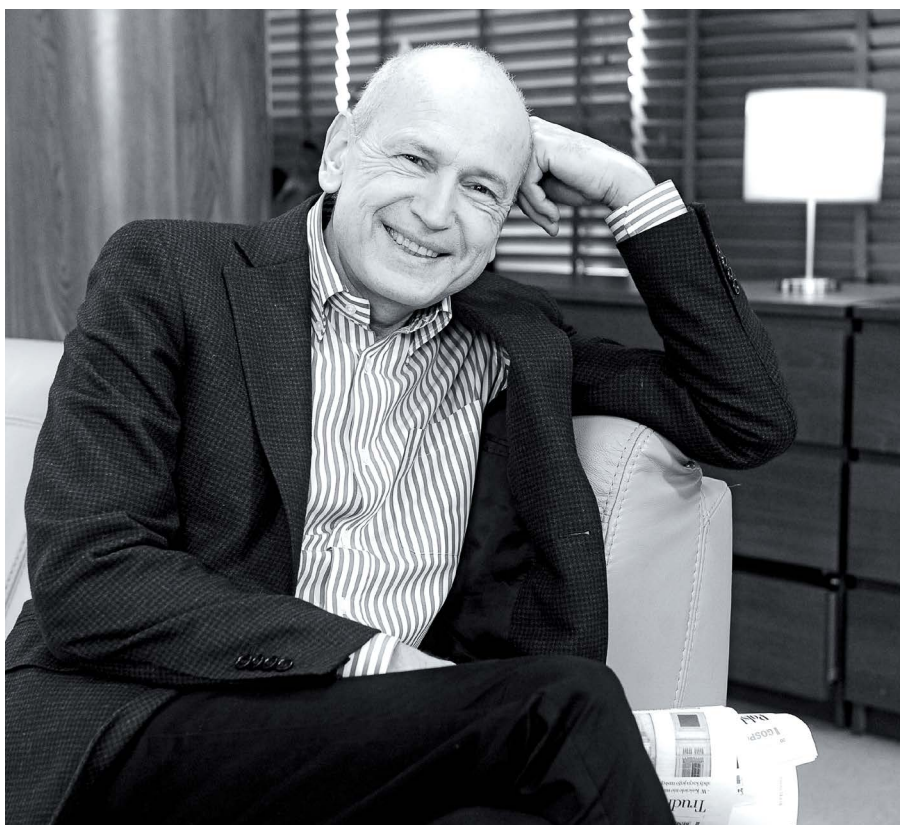
Jest jednak jeszcze cała sfera „nadbudowy” (wymiar sprawiedliwości, sądy i trybunały, prokuratura, służby specjalne, media, relacje państwo-Kościół, stosunek do mniejszości), które potraktowane zostały marginalnie. Duży kongres na ten temat byłby o wiele bardziej interesujący niż powtarzanie programu w gruncie rzeczy od dawna znanego, tyle że sprzedanego w innej, eksperckiej aurze, bez przypisywania nadmiernej roli układom, przestępczym związkom, agentom itp.

Jeśli PiS idzie śladami Orbána, a to widać w propozycjach gospodarczych, warto też mieć na uwadze system polityczny stworzony przez premiera Węgier, który z demokracją ma coraz mniej wspólnego. Partia Kaczyńskiego zawsze podziwiała skuteczność Orbána na tym właśnie polu – zmian instytucjonalnych i kadrowych. Zresztą, specjaliści od „nadbudowy” i politycznego ciągu technologicznego daleko się nie schowali. Zbigniew Ziobro, którego zasługi dla dewastacji prokuratury są powszechnie znane, czy Mariusz Kamiński, były szef CBA, uznany przez sąd za winnego i skazany za przekraczanie uprawnień, nadal zasiadają w pierwszych kongresowych rządach. Jeden jest pożądanym koalicjantem, mającym demonstrować jedność prawicy, drugi młotem na korupcję i „ofiara politycznej nagonki”, którą trzeba będzie mu wynagrodzić powrotem na dawne stanowisko. Tak PiS zawsze rozumiał wymiar sprawiedliwości: skazując naszych, znaczy, że działają politycznie, bo prawo i sprawiedliwość musi być po naszej stronie.

Jednak i Platforma zbiera siły. Premier Ewa Kopacz coraz skrupulatniej rozlicza się z zapowiedzi w swoim exposé, wzięła na siebie cały trud tej wstępnej fazy kampanii. Pozmieniano hierarchię partyjną, na czele pojawili się ludzie młodzi. Ponad trzy miesiące to szmat czasu, sporo można zmienić, wszakże pod warunkiem, że ociężała partia też się ruszy i nie będzie zaliczać wpadek. Trudno zrozumieć, dlaczego w prestiżowym dla Platformy głosowaniu w senackiej komisji zdrowia zarekomendowano odrzucenie ustawy o in vitro? Dwóch senatorów nie pojawiło się na obradach, a jedna pani senator wstrzymała się od głosu, bo ma swoje oryginalne pomysły. Być może rzecz na sali plenarnej zostanie naprawiona, ale sygnał, że Platforma znów się łamie, poszedł. Kto zresztą wie? Może część tak zwanych konserwatystów chce udać się pod skrzydła pani Szydło? W końcu siła przyciągania PiS rośnie wraz z sondażową masą poparcia.

Jan Koza





© PIOTR BLAWICKI/EAST NEWS

Jacek Mojkowski (1954–2015)

To dla nas bardzo ciężka strata. Zawodowa, życiowa, emocjonalna. Zmarły 4 lipca Jacek Mojkowski, od 15 lat redaktor naczelny magazynu „Forum”, był jedną z najważniejszych, najbardziej charyzmatycznych postaci naszego środowiska. Reporter, publicysta, komentator radiowy i telewizyjny, redaktor, menedżer – w każdej z tych ról Jacek był osobą wybitną. Dla mnie, dla wielu dziennikarzy i redaktorów dzisiejszego zespołu POLITYKI Jacek był serdecznym przyjacielem i towarzyszem życiowej drogi przez lat niemal 40.

Debiutowaliśmy wspólnie, jeszcze w latach 70. w „Życiu Warszawy”, najlepszym wtedy polskim dzienniku. Jacek, absolwent wydziału handlu zagranicznego SGPIŚ (dziś SGH), trafił do gazety na staż. Chyba nie bez znaczenia były rodzinne inklinacje – ojciec Jacka Mojkowskiego był w pewnym okresie ważnym redaktorem peerelowskiej prasy, ale sam Jacek był ostentacyjnie antysystemowy, zbuntowany, raczej myślał o wyjeździe z Polski niż o karierze. Jednak wsiąkł; jak wielu z tego pokolenia dziennikarzy dołączył do tzw. polskiej szkoły reportażu, aluzyjnego, ironicznego, demaskującego. Potem była Solidarność, odmowa poddania się weryfikacji w stanie wojennym, jakieś przejściowe zajęcia dziennikarskie, wreszcie, od połowy lat 80., POLITYKA, gdzie zgromadziła się spora, kilkunastoosobowa grupa byłych życiowców.

To nie były dobre lata ani dla Polski, ani dla prasy. Jacek zdecydował się wtedy praktycznie zerwać z zawodem – na parę lat wyjechał do Niemiec, za żoną, także absolwentką handlu zagranicznego, która pracowała tam na kontrakcie. Wykorzystał czas nie tylko do nauki i szlifowania języków; z pasją zaczął studiować informatykę, techniki komputerowe – kiedy po przełomie 1989 r. wrócił do Polski, był jednym z nielicznych kolegów obeznanych z komputerami. Akurat wtedy, po rozpadzie partyjnego koncernu prasowego, zaczęliśmy tworzyć niezależne przedsiębiorstwo wydawnicze POLITYKA i udało się Jacku na powrót skaperować do – uwolnionego już od cenzury – dziennikarstwa. Jak to w czasach rewolucji, był rzucany na różne fronty: kierował działem politycznym i ekonomicznym POLITYKI, został członkiem zarządu wydającej gazetę spółdzielni, później wiceprezesem. Pisał, redagował, liczył, instalował pierwsze redakcyjne komputery, cyfryzował archiwum, zakładał stronę internetową. Był współtwórcą i prowadzącym programy w nowych telewizjach. W radiowej Trójce został stałym komentatorem „Informatora Ekonomicznego”. Niesłuchanie ironiczny wobec wszelkiego patosu i zadęcia, nie pozwoliłby tak powiedzieć: ale był jednym z twórców wolnego rynku medialnego i wolnego dziennikarstwa. A potem, w 2000 r., zaczęła się dla Jacka epoka „Forum”.

Rozrastająca się i dobrze prosperująca spółdzielnia przejęła wówczas ten wydawany od 1965 r., w swoim czasie niezwykle popularny, tygodnik przedruków prasy zagranicznej. W nowych czasach, politycznego i kulturalnego otwarcia na świat, także dostępności prasy zagranicznej, „Forum” zaczęło tracić rynek, nakład spadł do kilku tysięcy egzemplarzy. Jacek Mojkowski był przekonany, że kraj wychodzący z wielu dekad izolacji, ubiegający się o członkostwo Unii Europejskiej musi mieć gazetę informującą regularnie i z pierwszej ręki o życiu świata. Z właściwą mu pasją i energią postanowił uratować „Forum”. Pod Jego kierownictwem tygodnik zmienił formułę, stał się pismem kolorowym, bogato ilustrowanym, ze znakomitými, wyznaczającymi nowy prasowy standard okładkami, świetnie dobranymi i redagowanymi tekstami. „Forum” szybko i kilkakrotnie zwiększyło sprzedaż i choć nigdy nie stało się pismem masowym, zyskało dziesiątki tysięcy wiernych, wręcz uzależnionych czytelników. Jako redaktor naczelny Jacek ujawnił swój perfekcjonizm. Nigdy nie przyjmował do wiadomości (ku rozpaczy pionu wydawniczego), że redagowanie to proces, który kiedyś musi się wszakże zakończyć. Uważał, że zawsze można zredagować gazetę lepiej. Stale skracał i wygładzał teksty, poprawiał tytuły, leady, wyimki, podpisy. Współpracownicy nazywali ten styl nieokiełznaną kreatywnością, ale Jackowi nie sposób było nie ulec, bo zarażał entuzjazmem, przekonaniem, dawał frajdę tworzenia gazety. Był szefem magazynu przez 15 lat, do ostatnich tygodni przed śmiercią. W szpitalu czytał kolumny, przez telefon prowadził kolegia, złościł się na swój stan, jakieś okresowe pochemiczne zapaści, ale jednocześnie był dumny, że koleżanki i koledzy tak dobrze sobie dają radę, że zespół świetnie wie, co ma robić.

Chorował heroicznie. W chorobie wrócił do swoich zaniedbywanych pasji. Godzinami pielęgnował ogród, zaczął znowu grać na gitarze, jak przed 30 laty, gdy potrafił rozkręcić i poprowadzić każdą towarzyską imprezę. Z Krystyną, i w zdrowiu, i chorobie, byli jedną z najpiękniejszych par, jakie dane nam było poznać. Oddani sobie, perfekcyjnie zorganizowani, nieustępliwi, kochający. Rodzice dwóch córek, od kilku lat też dziadkowie i teściowie, tworzyli ciepłą, wręcz wzorcową rodzinę. Też nie wiemy, dlaczego to nieszczęście musiało trafić na nich. Pewnie wszystko, co było w ludzkiej mocy, zostało zrobione, żeby Jacek ocalał. Nie dało się. Zostaliśmy bez Ciebie, Jacku. Każdy z nas trochę umarł.

JERZY BACZYŃSKI

I WSZYSCY TWOI PRZYJACIELE Z REDAKCJI I WYDAWNICTWA



© YVES HERMAN/REUTERS/FORUM

Belgijskim emerytom zorganizowano wspólne chłodzenie.

Ale grzeje!

Od hiszpańskiej Andaluzji, gdzie w Kordobie w cieniu zanotowano 44 st., przez Portugalię, Francję, Holandię, Niemcy i Wielką Brytanię, po Warszawę z ponad 30-stopniowym upałem. Władze Hiszpanii i Portugalii wydały oficjalne ostrzeżenia. We Francji, w której w 2003 r. upały zabiły kilkanaście tysięcy osób, głównie w podeszłym wieku, już w zeszłym tygodniu ogłoszono alert pogodowy. Władze apelują o zainteresowanie, czy w pobliżu nie mieszkają starsi ludzie, którzy mogliby potrzebować pomocy. W Holandii wprowadzono narodową mobilizację: jeśli przez dwa dni temperatura nie spada poniżej 32 st., to na równo nogi stawia się placówki służby zdrowia, urzędy i instytucje takie jak Czerwony Krzyż.

Wszystko po to, żeby sprawniej wychwycić przypadki udarów słonecznych i przegrzań. Zaczęło się od suszy w Brazylii, gdzie w lutym trzeba było nawet w kilku miastach odwołać karnawał. Były wielkie straty w rolnictwie i energetyce, która w 80 proc. jest oparta na elektrowniach wodnych. Deszczu wypatrywali także Kalifornijczycy. Bo choć kłopoty z suszą są tam już od czterech lat, to tegoroczny początek roku był najsuchszy od 1895 r. Ekspert ostrzega, że zapasy wody pitnej w Kalifornii są już na wyczerpaniu. Zraszanie chodników, podlewanie trawy wokół domów czy częste mycie samochodów w ogóle nie wchodzi w grę. A w restauracjach zniknęła nawet woda podawana do posiłków; teraz trzeba o nią wyraźnie poprosić. Z suszą, najgorszą od stu lat, zmagają się też Korea Północna, a fala gorąca, która na początku lipca załała

Pakistan, zabiła już blisko 1,3 tys. osób. Temperatury przekraczają tam 45 st., a wielogodzinne przerwy w dostawach prądu tylko pogarszają sytuację. W dodatku muzułmanie obchodzą właśnie ramadan, podczas którego muszą pościć od wschodu do zachodu słońca. Niektórzy sprzedawcy wykorzystują święto i odmawiają w ciągu dnia sprzedaży wody i lodu. Na przełomie maja i czerwca z powodu upałów w Indiach zmarło 2,3 tys. osób. Na wybrzeżu temperatury sięgały nawet 47 st., co przy dużej wilgotności powietrza było trudne do zniesienia. Potem jednak przyszły bardzo obfite deszcze monsunowe – i kolejne problemy.

Już kilka lat temu klimatolodzy zapowiadali narastające fale upałów w Europie, coraz dłuższe okresy suszy w Afryce oraz podnoszący się poziom oceanów. Ostrzegali też, że ekstremalne upały, kiedyś występujące raz na 20 lat, teraz będą się zdarzać dwa razy częściej. Skutki globalnych zmian klimatu już odczuwamy. Dlatego dyskusja o redukcji CO₂ wchodzi w inną fazę. Nawet najwięksi emitenci, jak Ameryka i Chiny, tracą rezon. Stany Zjednoczone zapowiadają, że w ciągu 10 lat nie tylko ograniczą emisję gazów cieplarnianych, ale też przerzucą się bardziej na produkcję energii z odnawialnych źródeł. To samo mówi chiński premier. Na razie nie wyznaczył dokładnych limitów ograniczeń, ale to i tak postęp, bo jeszcze niedawno Chiny uważały, że z efektem cieplarnianym powinny walczyć bogate kraje, które za niego odpowiadają. Dopiero kiedy chińskie miasta pokryły taki smog, że trudno w nich było oddychać, władze zmieniły front. Unia już zarezerwowała ok. 700 mln euro na zabezpieczenie się przed skutkami zmian klimatu. I wiele europejskich miast, w tym Warszawa, sprawdza np. możliwość stosowania różnych nawierzchni ulic albo zleca projektowanie lepiej wentylowanych budynków. Może więc po nieudanym szczycie klimatycznym w Kopenhadze w 2009 r. tegoroczny szczyt w Paryżu będzie bardziej konkretny i nie zakończy się tylko deklaracjami.

Kraków światową stolicą taniego piwa

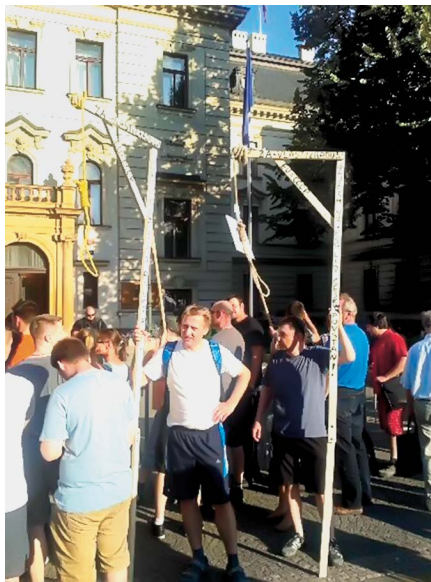
Chłodzenie sobie gardła podczas aktualnych upałów najdrożej wychodzi w Genewie. Turystyczny serwis internetowy GoEuro przeprowadził w 75 miastach świata pionierskie badania: sprawdził ceny piwa w barach oraz sklepach, przeliczył na dolary i wyciągnął średnią. Okazuje się, że najwięcej za 0,33 litra tego trunku trzeba zapłacić właśnie u Szwajcarów – aż 6,32 dol. (drugie miejsce zajmuje Hongkong, a trzecie Tel Awiw). Tymczasem najtaniej jest w... **Krakowie**, który uzyskał wynik jedynie 2,29 dol., głównie z powodu niskich cen w supermarketach (Warszawa jest 13. najtańszym miastem dla piwoszy). Nasza dawna stolica okazuje się też trzecim najbardziej spragnionym miastem świata (za nieznacznie wyprzedzającymi ją Pragę i Bukareszt). Według statystyk rocznie przypada tu 127 litrów piwa na głowę. Choć można zgadywać, że duża część to zasługa obcokrajowców przylatujących na tanie wieczory kawalerskie.



© DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Straszenie szubienicami

Nie dam się zastraszyć – ogłosił w wyjątkowo ostrym oświadczeniu premier Czech Bohuslav Sobotka. To odpowiedź na antyemigrancką demonstrację z ubiegłego tygodnia, podczas której niesiono szubienice, a uczestnicy protestu skandowali, że stryczki są przeznaczone dla różnych ministrów i premiera, których protestujący nazywali wręcz zdrajcami narodu. Demonstracji w Czechach nie brakuje, czasem nawet takich z użyciem przemocy, a mimo to praski przemarsz wywołał prawdziwy szok. Zdjęcia szubienic ze stryczkami obiegły wszystkie media. Takiego pokazu symbolicznej przemocy Czesi dawno nie widzieli. „Demokracja musi umieć bronić zasad, na jakich jest zbudowana.



Jeśli to się nam nie uda, możemy skończyć jak Republika Weimarska” – odpowiedział demonstrantom Sobotka.

Oświadczenie jest bardzo pryncypialne i twarde. „Policja i prokuratura muszą dbać o ścisłe przestrzeganie prawa. Sam nadal zamierzam postępować w zgodzie z własnym sumieniem i wartościami socjaldemokracji” – grzmiał premier. Jednocześnie skrytykował też policjantów, że interweniując, zatrzymali kilku lewicowych kontrademonstrantów, którzy chcieli zablokować przemarsz ekstremistów, ale szubienice zupełnie im nie przeszkadzały. „Kryzys migracyjny dodaje sił ekstremistom i faszystom w całej Europie. Demokraci muszą się temu jednoznacznie przeciwstawić” – oświadczył. W ramach wewnątrz europejskiego dzielenia się imigrantami Czechy mają przyjąć 1800 osób. I to w ich sprawie doszło do ksenofobicznej demonstracji.



© ITAR-TASS/PAP (2)

Ciąg roszczeń

Dwa posłowie putinowskiej partii Jedna Rosja, **Anton Romanow** i **Jewgienij Fiodorow**, muszą cierpieć na nadmiar wolnego czasu. Zwrócili się bowiem do rosyjskiej prokuratury generalnej, by zbadała, czy przywódcy ZSRR mogli pozwolić na rozwód z państwami bałtyckimi. Zdaniem posłów Rada Państwa ZSRR, składająca się m.in. z Michaiła Gorbaczowa jako związkowego prezydenta i przywódców 10 sowieckich republik, nie miała konstytucyjnych uprawnień, aby we wrześniu 1991 r. w imieniu całego Związku uznać niezależności Estonii, Litwy i Łotwy. Zgodnie z ówczesnym prawem, jakkolwiek to brzmi, powinno się było odbyć referendum. Zatem – triumfują czujni wnioskodawcy – secesje, które odepchnęły Rosję od bałtyckich portów i odebrały znaczną część jej „przestrzeni strategicznej”, są nielegalne.

Prynajmniej oficjalnie wniosek budzi zdumienie Kremla. Natomiast w czerwcu prokuratura uznała za nielegalną decyzję o oddaniu Krymu sowieckiej Ukrainie w 1954 r. Nic więc dziwnego, że inicjatywa putinowskich posłów wzbudziła oburzenie Bałtów. Vytautas Landsbergis, ojciec litewskiej niepodległości, proponuje nie bez ironii, by litewska prokuratura zbadała legalność Rosji, skoro zabiła ona cara i jego dzieci. Ale rzecz można pogłębić. Pracę do wykonania mogliby mieć prokuratorzy z Ułan Bator, bo Mongolia uznaje się za spadkobiercę Imperium Mongolskiego, którego jarzmo ruscy książęta zrzucili w drodze nielegalnego przewrotu. Sprawą mogliby zainteresować się również Skandynawowie, bo to przecież ze Skandynawii pochodzili założyciele faktorii handlowych, które w głębokim średniowieczu stały się fundamentami ruskich księstw, a później rosyjskiej państwowości.

O rosyjskim poczuciu humoru piszemy na s. 47.

Trójkąt dla Paryża

Wszystko, co związane z obliczem Paryża, wzbudza emocje, a tu rzecz dotyczy postawienia pierwszego od 40 lat wysokościowca. Po wybudowaniu bardzo krytykowanej Wieży Montparnasse (231 m) – „sztyletu wbitego w serce miasta” – na wiele lat zapadła decyzja o odgraniczeniu wysokości miejskiej zabudowy do 36 m. Nowy projekt, **Wieża Trójkątna**, liczy wprawdzie 180 m, tyle samo co słynny londyński Ogórek, ale też wywołuje polemiki. Projekt powstał w szwajcarskiej pracowni Herzog&de Meuron, tej od olimpijskiego Ptasiego Gniazda w Pekinie i Allianz Areny w Monachium. A w Paryżu stał się przedmiotem pojedynku dwóch ambitnych pań polityczek. Decyzję o budowie przevorsowała właśnie mer Paryża Anne Hidalgo, odkręcając grudniową decyzję odmowną, za którą stała jej konkurentka do fotela Nathalie Kosciusko-Morizet. Pani mer podkreśla, że wieża stworzy 1,4 tys. nowych miejsc pracy, przeciwnicy – że pożera energię i zawłaszcza przestrzeń. W dodatku paryską.



© HERZOG&DE MEURON



Ateny, wiec radości tych, którzy powiedzieli *oxi*, „nie”.

Zjazd grecki

Gdyby Grecy brali na poważnie każde referendum, zapowiedź bankructwa czy chaosu w kraju, już dawno by oszaleli.

DIONISIOS STURIS **Z TRIKALI**

Kiedy premier Aleksis Tsipras zapowiadał w telewizji niedzielne referendum, oni nieświadomi pili wino, jedli i śpiewali w jednej z tawern w mieście Trikala w centralnej Grecji. Niektórzy tańczyli – albo razem, skoczne sirtaki, albo w pojedynkę – wychodzili na środek sali, przed muzyków, zamykali oczy i dawali się nieść tej wewnętrznej sile, która w tańcu zeibekiko zastępuje ustalone kroki.

Ponad setka osób w podobnym wczesnoemerytalnym wieku. Dzieci greckich uchodźców, partyzantów z czasów wojny domowej, którzy znaleźli azyl w Polsce. Przyjechali do Grecji, gdy upadła junta czarnych pułkowników, z górą cztery dekady temu. Rozsiani po całym kraju, raz

do roku zjeżdżają w jedno miejsce. Przez trzy dni wspominają dawne czasy w Polsce i dobrze się bawią. Także w kryzysie. Bo jeszcze ich stać, żeby zapłacić za całonocną imprezę 12 euro.

Gdy rano wracali do hotelowych pokoi, telewizje informacyjne nadal meły newsa o referendum, w kółko puszczały wystąpienie Tsiprasa, który tłumaczył, dlaczego po pięciu miesiącach rozmów zerwał negocjacje z wierzycielami w Brukseli i dlaczego plebiscyt jest koniecznością. Z tym że niektórzy obywatele nie włączyli w nocy telewizora. Zasnęli, nie wiedząc, jak bardzo przyspieszyła historia.

Kilka godzin później, po krótkim spaniu i śniadaniu, polscy Grecy jechali już małym busem na krajoznawczą wyciecz-

kę nad jezioro Plastiras. Wtedy się zaczęło. Referendum? Co za referendum!? Kiedy? Jak będzie pytanie? – „Czy plan porozumienia z wierzycielami powinien być zaakceptowany”. Coś w ten deseń – odpowiadałam.

– Jestem zaskoczona, ale może to było jedyne rozwiązanie? – zastanawia się Eleni, świeżo upieczona emerytka, która w greckim MSZ przepracowała ponad 30 lat. – Już Papandreou chciał przeprowadzić referendum, gdy był premierem, cztery lata temu, pamiętacie? Ale mu Bruksela i Berlin nie pozwoliły.

– A wiadomo, jakie będą skutki? – pyta siedzący obok Panos. – Powiedział Tsipras, co nas czeka, jak wygra „tak” lub jak wygra „nie”? Czy on sam to wie? Jeśli nie

wie, to nie powinien się decydować na referendum. Jak niby mamy podjąć decyzję?

– Mnie się podoba, że nareszcie władza pyta ludzi, co myślą – włącza się Voula, siostra Eleni, emerytowana prokurator. – Do tej pory parlament przyjmował wszystkie cięcia i oszczędności, nie pytając nas o zdanie. Teraz możemy powiedzieć: wystarczy! Właśnie dlatego zgłoszę na „nie”. Zobaczycie, jaki opozycja i Bruksela przypuszczają atak, jak nam będą grozić, że zabiorą euro, że wróci drachma i że przez lata nie wydzwigniemy się z bankructwa.

Taką retorykę przyjmują już przed samym głosowaniem prywatne greckie media – kontrolowane przez kilku wpływowych bogaczy, którym nie po drodze z Syrią. Dzienniki będą straszyły apokaliptycznymi nagłówkami, a radiowi i telewizyjni reporterzy wśród ludzi na ulicach będą znajdować jedynie zwolenników zawarcia porozumienia. Sześć największych kanałów telewizyjnych głosującym na „tak” poświęci jednego wieczoru w sumie 47 minut czasu antenowego, zwolennikom opcji „nie” – zaledwie 8 minut. Równowagę w informowaniu będzie się starała zachować jedynie publiczna telewizja ERT, którą poprzedni premier Samaras niespodziewanie zamknął mocą dekretu, a Tsipras na nowo otworzył tuż po objęciu rządów.

Nie dajmy się zwariować

Atmosfera gęstniała powoli. Grupę bardziej zajmowało malownicze jezioro niż kolejna polityczna zawierucha. W ciągu sześciu lat kryzysu Grecy zdążyli do nich przywyknąć. Dobrze pamiętają rządy upadające jeden po drugim, przyspieszone i powtarzane wybory, premierów i ministrów wieszczących rychłą katastrofę. Gdyby ludzie mieli brać na poważnie każdą zapowiedź bankructwa i pogrążenia się ich państwa w chaosie, już dawno by z nerwów oszaleli.

Niemniej ich spokój zadziwiał. Niechby chociaż powiedzieli, że się martwią, niechby złapali się za głowy.

– Rok temu zmarł mój ojciec – mówi Vasilis – zostawił mnie i mojej siostrze trochę pieniędzy. Leżą na koncie i nie wiemy, co z nimi zrobić. Wszyscy znajomi ze strachu powybierali oszczędności z banków. Myśleliśmy, że przelejemy spadek na konto w Polsce, ale u was jest ten podatek Belki. Bylibyśmy stratni. A w skarpecie trzymać pieniądze nie chcemy.

– Wierysz, że w greckim banku są bezpieczniejsze? – dopytuje. – Mówi się, że od poniedziałku banki mogą być nieczynne.

– Nie dajmy się zwariować – odpowiada. – Nasze państwo może i bankrutuje, ale nie jest złodziejem.

Gdy pod wieczór wróciliśmy do Trikala, pobiegłem do bankomatu wybrać trochę

gotówki. Przede mną stały w kolejce trzy osoby. Każda odchodziła ze zmarszczonym czołem i bez pieniędzy. – Nie wypłaca – mówili ludzie, wzruszając ramionami.

Polska karta nie zadziałała w trzech kolejnych bankomatach. Grupa tłumaczyła, że jest sobota, koniec miesiąca, ludzie wybierają emerytury i pensje. Nie ma co się denerwować, w poniedziałek wszystko wróci do normy.

Kto to widział

Na wieczór, w ramach „polskiego” zjazdu, zaplanowana była uroczysta kolacja w tawernie pod miastem. Z przemowami, podziękowaniami, toastami, z muzyką i tańcami. Dojechały kolejne osoby – wśród nich zdeklarowana komunistka Basiliki, zwana Kulą: – Referendum by mi się podobało, gdyby dotyczyło czego innego, porzucenia euro i wyjścia z Unii. Oszukujemy się, że mamy jakąś wspólnotę narodów, a w rzeczywistości mamy unię bankierów, którzy wykorzystują biedne kraje jak Grecja. Najlepiej wychodzą na tym oczywiście Niemcy. Żyzna ziemia w Grecji rodzi trzy razy do roku, a z powodu unijnych regulacji musi leżeć odłogiem. Sprowadzamy pomidory z Belgii, pomarańcze z Izraela. Kto to widział?!

Kula należy do Greckiej Partii Komunistycznej, której znaczenie polityczne z roku na rok maleje – w 300-osobowym parlamencie ma obecnie 15 posłów. Swoim wyborcom będzie zalecać, by do referendalnej urny wrzucali wydrukowane przez siebie karty: NIE dla porozumienia, NIE dla rządzącej koalicji, NIE dla pozostawiania Grecji w Unii Europejskiej.

Kula mówi, że zostało jej w portfelu 13 euro. Od dawna żyje z miesiąca na miesiąc, od emerytury do emerytury. Dlatego jej zdaniem gorzej być już nie może. – Mokry deszczu się nie boi – przywołuje znane przysłowie.

Ma jeszcze lokatę, którą założyła przed kryzysem i której bank nie pozwala jej na razie zlikwidować. Rozumie, że w razie oficjalnego bankructwa forsa może przepaść. – Trudno, to tylko pieniądze – mówi. – Jako kraj możemy odzyskać coś cenniejszego. Niezależność.

Z kolei rządząca Syriza woli mówić o godności. Przywrócenie godności było jednym z głównych haseł wyborczych partii w styczniowych wyborach – pada i teraz, gdy premier namawia do głosowania na „nie”.

– Oglądałem trochę telewizji, przejrzałem portale i nadal nie wiem, jakie będą konsekwencje referendum – mówi Panos, sąsiad z mikrobusu, który otwarcie przyznaje, że na Syrię nie głosował i jej ludziom nie ufa. Uważa, że w greckiej polityce za dużo jest ideologii, a za mało zdrowego podejścia do gospodarki i przedsiębiorczości. Rozmawiamy w ogrodzie przed tawerną. – Rząd agituje, by głosować

na „nie”, Bruksela i nasza krajowa opozycja, żeby na „tak”. Media straszą katastrofą. Ale poważnej dyskusji na argumenty nie ma. I to mnie martwi, bo Grecy lubią głosować zgodnie z emocjami, niekoniecznie zaś zgodnie z logiką.

„Nie” dla Mussoliniego

Oxi (czytaj ohi) – to w Grecji symbol odwagi, kojarzony z walką o niepodległość. Każde dziecko zna historię o tym, jak grecki przywódca Ioannis Metaxas odpowiedział oxi Mussolinimu, gdy ten w październiku 1940 r. zażądał zgody na wkroczenie do Grecji włoskich wojsk i zajęcie niektórych strategicznych pozycji. Odrzucenie ultimatum oznaczało otwartą wojnę. Dzień Oxi to święto narodowe, każdego roku celebrowane z wielką pompą w całym kraju. „Tak” w tym kontekście oznacza haniebną zgodę, podporządkowanie się obcym siłom. „Nie” symbolizuje gotowość do walki o to, co najważniejsze. Stąd taka, a nie inna konstrukcja referendalnego pytania. Poza wszystkim – sprytny PR.

Panos nie zamierza poddawać się tej symbolicznej presji. Zgłasza na „tak”. Bo na jego oko to w tym referendum wcale nie chodzi o porozumienie, o program reform, lecz o powrót drachmy. – Grexit, czyli wymuszona rezygnacja z euro, byłby dla nas katastrofą – mówi. – Ja do tego ręki nie przyłożę.

Pozostali tamtej nocy w ogrodzie byli w swych opiniach podzieleni. Już zdążyli przeczytać w internecie o „kolejnym akcie greckiej tragedii”, o tym, że są ofiarami nieodpowiedzialnego premiera, który zachowuje się jak gówniarz. Jedni mówili, że się boją, że trzeba nam było podpisać cokolwiek, bo wypadki mogą się potoczyć w sposób, którego nikt nie jest w stanie przewidzieć.

Inni byli bardziej waleczni i starali się tłumaczyć zachowanie Tsiprasa – w kampanii wyborczej obiecywał, że będzie twarde negocjował, że nie pozwoli na kolejną cięcia, że opodatkują nietykalnych dotąd oligarchów. Po to dostał mandat.

Sprzeczne opinie mieli dwaj najlepsi przyjaciele, siedzący przy jednym stoliku, oraz matka z synem. Tłumaczyli, dlaczego zgłoszą tak, a nie inaczej, po czym zgodnie wracali do zabawy. Kilka dni później zasiłą szeregi różnych demonstracji – matka będzie wśród ponad stu tysięcy „oxistów”, których rząd skrzyknie przed parlament w Atenach. A jej syn z żoną i dzieckiem pójdą kilkaset metrów dalej, przed olimpijski stadion Kalimarmaro, i razem z opozycją będą głośno skandować „tak”. Wątpliwe, by referendum trwale ich poróżniło. Wbrew obawom zagranicznych mediów powtórki z greckiej wojny domowej nie będzie.

Wczesnym niedzielnym popołudniem pojechaliśmy zwiedzać słynne klasztory Meteora – na zakończenie corocznego zjazdu. Był obiad, ostatnie tańce do tra- ►